W dwóch światach jednocześnie

Dariusz Pawlicki

Dobrze pamiętam jak jeszcze niedawno, aby przenieść się w myślach w inne miejsce, odległe o wiele kilometrów, musiałem zamknąć oczy. Dopiero wtedy, gdy wizualna strona świata realnego, jakby przestawała istnieć, mogłem rozpocząć wizytę w owym „innym miejscu". Przy czym to przenoszenie mogło odbywać się tylko wtedy, gdy stałem, leżałem bądź siedziałem. A obecnie może mieć miejsce także podczas wędrówki. Zmieniło się także i to, że owe wizyty w odległych miejscach, nie ograniczają się tylko do tego, co widzę. Towarzyszą im bowiem doznania słuchowe, dotykowe, zapachowe.

Ale sprawa odwiedzania w taki sposób miejsc przedstawia się teraz jeszcze o tyle inaczej, że są one odległe o tysiące kilometrów. Przebywam przykładowo na Manhattanie. A konkretnie na Morton Street, w środku Greenwich Village, którą zresztą lubię. I będąc tam, przypatruję się ceglanym ścianom

domów, okiennicom w niektórych oknach. Następnie chodnikom ułożonym z dużych płyt kamiennych. Ale nagle przenoszę się na bliską mi Suwalszczyznę. Owe przenosiny, odbywają się prawie zawsze bezproblemowo, bez żadnego też okresu przejściowego. Po prostu w następnym momencie mogę znaleźć się, chociażby, na drodze leśnej wiodącej od Gościńca w stronę Przewrocia, a dalej ku Ciemnemu Lasowi nad Czarną Hańczą.

Dom przy Morton St., fot. D. Pawlicki.

Idąc po asfaltowej nawierzchni lub płytach kamiennych na wspomnianej Morton Street, odczuwam równocześnie pod butami miękkość piaszczystej drogi, a także, raz po raz, sztywność szyszki, świerkowej lub sosnowej. Pamiętam też wówczas o zwracaniu uwagi na wystające z ziemi grube korzenie. Zwłaszcza w jednym miejscu, gdzie wspomniana droga biegnie nieco w dół, jest ich wiele i są szczególnie grube. A za sprawą kolejnego deszczu, wypłukującego piasek i żwir, ukazują się następne. Przy tym niebo nad Greenwich Village, najczęściej błękitne z pojedynczymi lekkimi obłokami, jest równocześnie niebem nad lasem, przez który wędruję. Ów las znajduje się na północnych obrzeżach rozległej Puszczy Augustowskiej.

Wszystkiego tego, jak wspomniałem, doznaję na jawie. A przy tym moje oczy są otwarte. I wiem, gdzie przebywam ciałem i gdzie przebywam… duszą. No bo jeśli składa się na mnie ciało i dusza, a to pierwsze jest w jednym miejscu, więc w drugim musi być dusza; bo cóż innego?

Łatwość poruszania się po wspomnianym miejscu, jak i po innych na Suwalszczyźnie, wynika z wielokrotnego i długiego przebywania w nich wcześniej. A także, co jest chyba oczywiste, z tęsknoty za nimi. Myślę nawet, że tęsknota, w formie jakiegoś

zadośćuczynienia, daje mi w zastępstwie możliwość takiego podróżowania. W zastępstwie, gdyż nie zdarzy się żaden cud, i póki nie przelecę samolotem nad Atlantykiem, kora drzewa, którego dotknę, będzie korą drzewa rosnącego na przykład na Washington Square, a nie nad jeziorem Pogorzelec.

O przenoszeniu się w konkretny punkt na Suwalszczyźnie decyduje nastrój, pragnienie znalezienia się właśnie w nim, a nie gdzie indziej. Ale niekiedy powodem jest, co innego. Może to być na przykład…

Lipcowy dzień był gorący. Czuć też było w powietrzu wstrętną wilgoć. Jeszcze gorzej było, gdy znalazłem się w podziemiach, na ruchliwej stacji metra o nazwie Union Square na Manhattanie. I właśnie wtedy dotarło do mnie wspomnienie styczniowego, wczesnopopołudniowego dnia. Mróz był kilkunastostopniowy, ale nie wiał wiatr.

Ruszyłem z moim kuzynem ku brzegowi jeziora Pogorzelec. Weszliśmy na powierzchnię zamarzniętego jeziora. Jakakolwiek ostrożność w tym wypadku była najzupełniej zbędna, gdyż mieliśmy pod sobą przeszło trzydzieści centymetrów lodu. Śnieg sięgał za kostki i był dziewiczy. Jedynie w kilku miejscach natrafiliśmy na tropy saren, które ze wschodniego brzegu przeszły na przeciwległy.

Biały puch iskrzył się w słońcu. Nad sobą mieliśmy intensywnie niebieskie niebo z nielicznymi obłokami. W oddali, na tle ośnieżonego lasu widać było dwóch wędkarzy. Raz po raz wstawali z siedzisk i stawali przy przeręblach.

Odczuwałem radość, że idę w zimowy dzień, pod pięknym niebem, w temperaturze, którą lubię. A obok podąża mój kuzyn. Nie rozmawiamy, gdyż wszystko jest oczywiste. Wejście do klimatyzowanego wagonu spowodowało, że znad jeziora Pogorzelec skutego lodem powróciłem do Nowego Jorku. I nastąpiło to w oka mgnieniu.

Szczególnie mocno utkwiło mi w pamięci przebywanie w dwóch światach, gdy kilka tygodni temu szedłem przez Ridgewood na Queensie. Przemierzałem bardzo czyste, nie tylko jak na Nowy Jork, ulice, przy których stały jedno-, dwupiętrowe domy. Przed wieloma spośród nich znajdowały się niewielkie ogródki. Rosło tam też wiele drzew. Może właśnie te drzewa sprawiły, że w myślach znalazłem się w zupełnie innym miejscu. Nie, raczej nie one; na Ridgewood jest bardzo wiele klonów. Natomiast tam, gdzie przeniosłem się duszą, zdecydowanie dominują sosny i świerki, zaś klony są nieliczne.

Gremzdówka, fot. D. Pawlicki.

Przestałem odczuwać twardość asfaltowej nawierzchni pod podeszwami, gdy zszedłem z szosy. Dalej powędrowałem leśną drogą w stronę niewielkiego mostu na Gremzdówce. Ziemię pomiędzy pniami drzew pokrywał prawie jednolity kobierzec mchów. W miejscach, gdzie dominowały świerki, las wyglądał bajkowo, ale równocześnie tajemniczo. Wkrótce wyszedłem na otwartą przestrzeń. Przed sobą miałem Gremzdówkę, na której brzegach rosły liczne olchy. A po prawej stronie, spoza drzew i zarośli, przezierał fragment jeziora Miałkiego.

Gdy oparłem się o poręcz mostku, zacząłem wpatrywać się w bystry nurt niewielkiej rzeczki. Za sprawą czystej wody widziałem piaszczyste dno, gęsto upstrzone fragmentami muszli małży i kamieniami rozmaitej wielkości. Raz po raz w polu widzenia pojawiały się ławice drobnych ryb i pojedyncze, polujące na nie okonie. Ale to mogły być też jakieś inne ryby. Nie mogłem im się dokładnie przyjrzeć, gdyż były bardzo ruchliwe. Postaci umieszczonych we wnętrzu niedużej, przeszklonej kapliczki zawieszonej na drzewie, tuż przy moście, nie widziałem wyraźnie. Ale to niewidzenie było spowodowane tym, że ich nie pamiętałem. Na własne oczy widziałem je tylko raz jeden. Ale utkwiła mi w pamięci, mniej więcej, wielkość i kształt brązowej kapliczki. I na jej obserwacji, to moje połączenie z bardzo odległym punktem na Ziemi, urwało się. Doszedłem bowiem do Fresh Poind Road. A panujący tam ruch, na chodnikach i jezdni, wymusił uwagę.

1 sierpnia przemierzałem Brooklyn z południowego-wschodu na północny-zachód. Dzień był gorący – około 34° C w cieniu, ale, na szczęście, wilgotność jak na Nowy Jork latem, była niewielka – 40%. Wysoką temperaturę odczuwało się szczególnie na rozległych, wybetonowanych placach, na które nie rzucały cienia drzewa ani ściany domów. Niewielu napotykałem ludzi, szedłem bowiem przez tereny zajęte przez liczne hurtownie, magazyny, niewielkie fabryki. I zupełnie niespodziewanie, jakiś szczegół dostrzeżony na trasie bądź jakaś myśl, która przemknęła mi wtedy przez głowę, sprawiła, że przeniosłem się w wiadome miejsce. Ale tym razem nie wspominałem tego, co kiedyś się wydarzyło.

Dzień jest chłodny. Kolory liści na drzewach wskazują na początek jesieni. Mam na sobie kurtkę, a pod nią cienki sweter. Jest późne popołudnie i słońce znajduje się już nisko nad Lasem Pogorzelskim. Panuje cisza, jak to na Suwalszczyźnie ma miejsce już na długo przed zmierzchem. Panuje też całkowity bezruch. Ale przede wszystkim jest cicho. Tej ciszy mogę słuchać i słuchać. Takie dźwięki jak chrzęst żwiru pod podeszwami butów, tylko ją podkreślają.

Schodzę z drogi gruntowej prowadzącej z Jeziork do Krasnopola, przechodzę przez łąkę i wdrapuję się na wzgórze. Siadam na grubej gałęzi pod niską sosną pochyloną za sprawą północnego wiatru, który stale tam wieje. On też ustala kierunek fal na

jeziorze Głuchym. Te fale rozbijają się u podnóża wzgórza. Dlatego na wąskiej piaszczystej plaży jest zawsze pas piany, szerszy bądź węższy. Odgłosy monotonnych uderzeń dochodzą do mych uszu. Ale poza tym dźwiękiem istnieje wyłącznie cisza. Ze wzgórza widzę samotne gospodarstwa rozrzucone nad brzegami jeziora. Każde z nich jest częściowo skryte pośród starych drzew i usadowione na niewielkim zniesieniu, w jakie obfituje północna Suwalszczyzna.

Robi się coraz chłodniej i jestem zmuszony zapiąć kurtkę pod samą szyję. Ale na… brooklyńskiej ulicy, jak było, tak i jest skwarnie. Dzisiaj jest jeszcze goręcej. Do tego w powietrzu jest chyba wyłącznie wilgoć. Niestety, ale kilka podjętych przeze mnie prób przeniesienia się nad skute lodem jezioro Wigry, spaliło na panewce. To, co zobaczyłem, prezentowało się niewyraźnie, było bardzo rozmyte. Wyróżniłem w tej swoistej mgle jedynie zarysy obu wież kościelnych i wieży zegarowej na Półwyspie Klasztornym. Aby poczuć ulgę, próbowałem wyobrazić sobie owiewające mnie zimne powietrze. Ale i z tego nic nie wyszło. Zdesperowany, próbowałem pójść na całość i, mimo wszystko, wmówić sobie, iż jest bardzo zimno. Po czym ubrałem się, oczywiście w myślach, w sweter. Szybko jednak go zdjąłem, gdyż poczułem jeszcze wyższą temperaturę. Nie miałem już wątpliwości co do tego, że dziś moja dusza nie wyrwie się z Nowego Jorku. Najwidoczniej wilgoć, gdy jest jej nazbyt dużo w powietrzu, sprawia, że staje się ona za ciężka.